

Ekologizm kontra chrześcijaństwo?

Faktem jest, że wielu niechrześcijańskich ekologów, w imię współpracy, szacunku lub z jeszcze innych powodów, wyraża co najmniej tolerancyjny stosunek wobec światopoglądu religijnego statystycznego Polaka. Po prostu, co się chwali – zamiast toczyć wojny religijne, chcą realizować ponad podziałami swoje „statutowe” cele. Jednak czytając lub słuchając wypowiedzi zaangażowanych eko-aktywistów, można odnieść wrażenie, że w ich środowisku ocena chrześcijaństwa jest negatywna. Pojawiająca się krytyka „religii krzyża” często pada nie wprost, choć zdarzają się też bezpośrednie wyrzuty lub ataki.

Wśród gamy zarzutów są z pewnością i słuszne, motywujące do zmian. Pokutuje jednak spora część utartych, nietrafionych schematów-oskarżeń, mających swoje cztery źródła: niewiedzę, czym chrześcijaństwo jest naprawdę (jego fałszywy obraz zdobyty w sposób odmienny niż autentyczne doświadczenie życia wiarą), błędy myślenia, hipokryzję i niechęć do religii Chrystusa. Oczywiście dla wielu każde oskarżenie pasujące do własnych przekonań sprawia wrażenie trafnego i oczywistego.



Jeden z (chyba) popularnych „wyrzutów”, którego genezę można by skojarzyć z co najmniej trzema wymienionymi powyżej przyczynami, dotyczy pewnego problemu z dziedziny etyki zwierząt. Zanim skupię się na tym, należy zwrócić uwagę na kilka istotnych kwestii. Podstawą poglądów etycznych jest w zasadzie światopogląd i jego filozoficzne uzasadnienia. Nauka odgrywa, jeśli już, rolę drugorzędną, choć można argumentować w jej kontekście. Standardowo należy zadać sobie pytania: czemu powinienem czuć empatię wobec zwierząt i poszanowanie dla dzikości albo uznawać wartość procesów ewolucyjnych i ich owoców? Dlaczego mam nie sprawiać (potrzebnego lub nie) bólu zwierzętom? Dlaczego mam promować procesy naturalne nad stymulowane antropogenicznie?

Takie wątpliwości podniesie ktoś, kto nie nosi „w sercu” intuicyjnych praw eko-moralności. Stwierdzi, że moralność jest czymś indywidualnym i nie ma żadnej absolutnej instancji, która wskazywałaby ostatecznie, jakie czyny są dobre. Ktoś inny skonstatuje te powinności moralne z nieuświadomionym genetycznym egoizmem, który wypływa z interesów osobnika, tudzież gatunku. Empatia wobec innych ma odległe korzenie w pasożytnictwie, które chcąc dla lepszych zysków podtrzymać dobrą jakość i trwałość swojej „dojnej krowy”, zaczęło dawać coś od siebie. Coś bierzesz, następnie zaczynasz coś dawać, aby brać (dostawać) więcej. Taka ko-ewolucja dodatnich interakcji doprowadziła w ten sposób do współpracy i wreszcie wyłonienia się u najwyższej zorganizowanych form wyrafinowanych „odczuć wyższych”, które jednak pozostają (choćby w bardzo skomplikowanych) związkach z prostymi wytycznymi nieświadomej ekonomii samolubnego genu. Następnie skwitowałyby, że jego gen zmutował na rzecz obojętności wobec zwierząt i że może to okazać się korzystną mutacją w zmieniających się warunkach środowiska. Twory i procesy przyrodnicze nie rozróżniają tego, co dobre i złe i co być powinno, w „sosie przypadku” dzieje się po prostu to, co się dzieje. Czemu człowiek miałby się z tego „porządku” wyłamywać? Jedni czują empatię, inni antypatię i porównawcze wartościowanie tych postaw jest pozbawione sensu. Dlatego zarzuty o okrucieństwie wobec zwierząt są tylko emocjonalnym manifestem etycznym, a nie zobowiązującym prorocstwem. Programowy deprawator etyki środowiskowej dodałby na domiar, że mogłyby te etyczne oczekiwania nawet i być racjonalne, ale nawoływanie do wierności ideałowi racjonalności jest kolejnym przypadkiem manifestu osobistych przekonań, raczej nie będącym celem przyrody. Rzecz jasna, w filozofii ekologii można odnaleźć tuzin argumentów przeciwnych.



Fot. Z archiwum [Cushing Memorial Library and Archives, Texas A&M](#)

Wracając do konkretów. Przykładem poruszającego i pouczającego manifestu etycznego w obronie zwierząt innych niż ludzie, jest tekst Olgi Tokarczuk pt. *Maski zwierząt* („Krytyka Polityczna” nr 15, 2008). Jest on jednocześnie przykładem krytyki chrześcijaństwa z pozycji pewnego stanowiska w ekologizmie. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że referowane w tekście historie i myśli Costello, Singera, Fabera i Goodall, są wyrazem przekonań Autorki, mimo że z rzadka wprost mówi ona „od siebie”. Własne zdanie, nadające powagę temu, co po nim zostaje wyłożone, wypowiada na wstępie eseju: „Cierpienie człowieka łatwiej jest mi znieść niż cierpienie zwierzęcia. Dla zwierzęcia nie ma ani pociechy, ani ulgi, bo nie czeka go żadne zbawienie. Nie ma też sensu. Ciało zwierzęcia nie należy do niego. Duszy nie ma. Cierpienie zwierzęcia jest absolutne, totalne”.

W świetle tak postawionej sprawy, można postrzegać chrześcijaństwo (które przedkłada cierpienie człowieka nad ból zwierzęcia), jako światopogląd uprzedzeń i iluzji, pozbawiony autentycznej wrażliwości. Należy jednak poczynić kilka uwag, które powstrzymać powinny niepotrzebne zarzuty wynikające z uproszczeń i filozoficznych założeń o wątpliwej randze. Pociecha, ulga (np. przed lękiem śmierci), sens cierpienia – według Autorki – nie przysługujące zwierzęciu, mają sprawiać, że jest ono w gorszym położeniu od człowieka. Jako bardziej poszkodowane, zwierzę wymaga zatem większej uwagi. Jednak wymienione „ułatwienia” ludzkie odnoszą się do refleksyjnej świadomości, a nie bezpośrednio do bólu. W przypadku zwierzęcia generalnie mamy do czynienia z bezrefleksyjnym bólem i bezrefleksyjną śmiercią i w takiej sytuacji nie ma ono potrzeby posiadania swoistych dla człowieka narzędzi radzenia sobie z bólem i cierpieniem. Łatwiej jest zwierzęciu znieść ból bez niepotrzebnych myśli i wybujałej „czarnej” wyobraźni. Gdybym jednak się mylił, a zwierzę posiadałoby, tak jak człowiek, zdolność refleksyjnego przeżywania bólu i umierania, wtedy należy uznać, że może jednocześnie posiadać refleksję religijną, duszę, swoje racjonalizacje, sublimacje, zdolność nadawania sensu cierpieniu... i wtedy nietrafione okazuje się uzasadnienie Autorki, dlaczego Jej empatia wobec cierpienia poszkodowanych zwierząt jest wyższa niż wobec cierpienia człowieka.



[Fot. law keven](#)

W tekście odnaleźć można dość luźne interpretacje postawy chrześcijaństwa wobec zwierząt: „Pewne jest jednak, że stosunek do zwierząt, jaki wtedy obowiązywał [we wczesnym chrześcijaństwie], był stronnicy i wrogi” – należałoby posiadać ogromne kompetencje historyczne i teologiczne, aby takie ogólnikowe wnioski analizować i wyprowadzać bez ryzyka. Niejasne byłoby także formułowanie zarzutów na podstawie takich twierdzeń: „Tradycja judeochrześcijańska mówi to jasno: ziemia wraz ze wszystkimi gatunkami roślinnymi zostały stworzone po to, żeby służyć interesom gatunku ludzkiego [...] celem zaś natury jest służenie człowiekowi”. Wniosek, że z tych zdań wynika coś sprzecznego z ideami ekologizmu, jest wątpliwy. Ewangeliczne „panowanie” możemy zasadnie utożsamiać ze służeniem, ale o ile mi wiadomo tradycja judeochrześcijańska mówi, że celów natury jest więcej – np. uwielbienie Boga, lub cel samej dla siebie, skoro stwarzając Pan uzasadniał istnienie elementów przyrodniczych tym, że były po prostu dobre... Jaki cel stwarzania przyświecał Bogu zanim „zdecydował się” na osadzenie w niej człowieka, myślę że najlepiej wie On sam.

Przekonanie, że aktualnie celem natury jest służenie człowiekowi, niesłusznie jest odbierane jako „anty-ekologiczne”. Wątpię, czy w pismach Kościoła gdziekolwiek jest napisane, że jest to „jedyne” cel. To małe słowo robiłoby dużą różnicę i usprawiedliwiłoby krytykę, a tak przypisanie naturze celu służenia ludzkości nie wyklucza możliwości istnienia przyrody w stu innych celach. Idąc dalej tym tropem: postrzeganie natury na sposób biologiczny, jako wielkiego systemu sieci zależności, daje podstawę do uznania, że faktycznie celem natury jest służenie człowiekowi, tak samo jak jest nim

służenie zmieraczkowi plażowemu, gackowi, rzęsiorkowi, żbikowi czy psu. Nic nie zabrania chrześcijaninowi dokonania abstrakcji intelektualnej, w której ujrzy on naturę jako całość służącą swoim elementom składowym, choćby jako środowisko życia. Osobnik każdego gatunku, choć tego nie nazywa, postrzega środowisko jako przestrzeń, która powinna mu służyć. Oczywiście nie wyklucza to tego, że zawsze również on – świadomie lub nie – w jakiś sposób się środowisku przysługuje.

Przywoływane przez Autorkę Costellowskie przyrównanie „rzezi” zwierząt do masowej zbrodni Holokaustu, być może powinno wzbudzić w hipermarketowych mięsożercach – ale tych, którzy mają zdolność wejścia na wyższy poziom wrażliwości – świadomość uczestnictwa w zbrodni na niewyobrażalną skalę. Sama świadomość niestety często nic nie zmienia. Kondycja każdego człowieka jest taka, że nigdy nie dorasta do swoich wartości i nieustannie się im sprzeniewierza, najczęściej wtedy, gdy zaczyna mu się wydawać, że trwale osiągnął mistrzostwo w realizacji jednej z nich. Nic dziwnego, że tak chrześcijanie, jak ekolodzy – nie są bez winy w rozliczeniu ze swoich moralnych zobowiązań. Kiedy Autorka była ostatni raz w Domu Pomocy Społecznej, albo w Domu Starców? Jeśli ja zjem jutro wieprzowinę, przyczynię się pośrednio do niepotrzebnego cierpienia świń, okażę się obojętny, popełnię grzech braku empatii wobec cierpiących zwierząt... Analogicznie, jeśli Autorka jutro nie pójdzie do wspomnianego ośrodka, to będzie to wyraz obojętności i przyczynianie się (poprzez zaniechanie) do cierpienia istot żyjących pewnego gatunku. Nic to innego, jak pośrednie przysporzenie niepotrzebnego cierpienia osobnikowi, skazanemu na niewyobrażalne katusze psychiczne (gorsze od fizycznych), bestialsko porzuconemu przez najbliższych w momencie, kiedy najbardziej ich potrzebował.



[Fot. audreyjm529](#)

Przed byciem współwinnym takiej „zbrodni” nie sposób obronić się rzekomo (o czym była już mowa) uprzywilejowanym statusem cierpiętniczym zwierząt. Czy ja potrafię poświęcić swoje upodobania kulinarne na rzecz zmniejszenia cierpienia wieprzów lub innych ofiar? Rozumnych, dodajmy – świnie są bardzo inteligentne. Starcy są czasem bardziej, a czasem mniej już rozumni niż świnie, na pewno jednak równie jak „zwierzęta kulinarne” bezbronni w tej sytuacji. Więc czy Autorka potrafi poświęcić przyjemną lekturę książki lub coś innego, co zabiera jej czas, który mogłaby poświęcić na zmniejszenie cierpienia spokrewnionych blisko z nią zwierząt? Czy oboje uczestniczymy w zbrodni? Czy pójdzie Autorka jutro nawiedzić starców? A może zachce ich bezboleśnie uśmiercić? Wtedy, jak mówi przysłowie – wilk będzie syty i owca cała. Czy to tak, jak przy bezbolesnym sposobie zabijania przyszłego szaszłyka z baraniny? Mięsożernemu „szarakowi” trudno jest uchwycić punkt widzenia leżący na horyzoncie jego wyobraźni, gdzie rzeczywistość biologiczna zlewa się z fantasmagorią filozoficzną. Nie tylko szarakowi, ale też tym, którzy są przekonani, że „ujrzeli” coś więcej. Dla Autorki manifestu o filozoficzno-literackim polorze, może być niewykonalna próba dostrzeżenia własnych sfer o ograniczonej zdolności empatii – tego, że naprawdę także i ona jest uczestniczką zbrodni na masową skalę. Gdyby więc jej sumienie ekologiczne zechciało pożalić się na chrześcijaństwo prędzej niż uzalić się nad nią samą, byłaby to zwykła hipokryzja.

Bezspornie prawdziwe jest to, że chrześcijanie nie zawsze autentycznie realizują deklarowane postawy życiowe. Przykładem jest kapitalistyczny pęd do rozwoju gospodarczego i zwiększenia dobrobytu... Nie jest to postawa ewangeliczna, stąd pomyłką jest identyfikowanie postawy Chrystusa i jego uczniów z ideą rozwoju gospodarczego (czynienia sobie skarbów na ziemi) i związanej z tym ekspansji techniczno-infrastrukturalnej kosztem dzikiej przyrody. Wielu wierzących, manifestując swoją przynależność do Kościoła, nie dorasta do ewangelicznego życia i postępuje według zmodyfikowanej dla samousprawiedliwienia, nieprzyjaznej przyrodzie nie-ewangelicznej teologii.

Każdy z wierzących ma chwile, kiedy staje się pseudo-chrześcijaninem. Tak samo my, przyrodnicy – czasem pojedziemy samochodem, polecimy samolotem, wypijemy piwo w puszcze, przesiedzimy pół nocy pracując przy komputerze, zużyjemy energię elektryczną dla rozrywki (film) etc. Często też młodzi eko-zapaleńcy i chrześcijanie angażują się w aktywność społeczną, pracują nad sobą, a po kilku, kilkunastu latach, wycofują się ze swoich poglądów, a jeśli nawet nie, to przestają one mieć większy wpływ na postępowanie.

Nie dziwi też doświadczany, samonapędzający się mechanizm zacieśniający krąg pychy, niezrozumienia, wrogości i alienacji: w swojej miernocie moralnej sublimujemy winy na innych, iskając ich porażki i upadki tworzymy negatywny obraz chrześcijanina-obłudnika, nietolerancyjnego, egoistycznego, naiwnego, nieświadomego fanatyka, lub ekologa-oszołoma, nieludzkiego, terroryzującego, zdziwaczałego, bezmyślnego ideologa. Utrwalając w swojej świadomości taki obraz, nasiąkamy jadem, który – jak mniemamy – z impetem tryska z drugiego, nie z nas. Pretensjonalna i stawiająca nas w pozycji mędrca-mentora krytyka, wyostrza negatywny obraz naszej osoby w oczach oskarżanego, który tak jak my skutecznie zatrzuwa się własnym jadem poczucia wyższości i w ten sposób wystawia kolejny fragment swej nadgniętej metafizycznie substancji na pożarcie naszej ciągle nienasyconej krytyki. Krąg się zamyka. To wynaturzenie (nie natura, jak sądzę) dotyczy każdego bez wyjątku.



My, ekolodzy i chrześcijanie – jesteśmy tacy sami, często niewierni swoim ideałom. Powinniśmy nawzajem się upominać, aby żyć bardziej według wyznawanych wartości. Ale nie powinniśmy przy tym snuć generalnych osądów czy subtelnych wyrzutów, atakować jądra idei ekologizmu (jest nim uznanie wartości przyrody i moralna odpowiedzialność wobec żywych bytów), ani idei chrześcijaństwa (jest nim uznanie Chrystusa jako Boga i Ewangelii jako absolutnie zobowiązującego objawienia). Oba ideały pozostają piękne i nieskalane. Jedna idea w świetle swoich własnych tez nie neguje najistotniejszych tez drugiej idei. Dlaczego mielibyśmy oskarżać ekologów np. o zaangażowanie polityczne czy indoktrynację szkolną, a chrześcijan np. o medialną aktywność czy dążenie do modyfikacji zapisów prawnych. Żyjemy w państwie demokratycznym, a dla istnienia, czy też użyteczności dla przyrody/człowieka obu idei, ich wyznawcy mają swoje nietuzinkowe filozoficzne i naukowe uzasadnienia. Chrześcijaństwo nie jest światopoglądem wrogim ekologizmowi, a raczej jest prześląknięte wartościami pro-ekologicznymi. Oskarżenia niektórych niechrześcijańskich ekologów, że tak nie jest, wynikają z niewielkiej orientacji, czym naprawdę chrześcijaństwo jest (wiadomo, że często sami deklaratywni wyznawcy Chrystusa nie mają o tym pojęcia). Krytykanctwo może też być efektem nałożenia się błędów myślenia i pragnienia walki z niechcianą religią. Zamiast bycia małostkowym i koncentrowania energii w stronę takiej krytyki, można zapytać siebie i innych, o co tak naprawdę chodzi...

Bezpośrednia przyczyna degradacji przyrody jest jedna – egoistyczna konsumpcja, zaspokajanie coraz bardziej wyrafinowanych potrzeb, które wymagają operacji na przyrodzie i zmiany zasad moralnych. Skutkują na przykład przysporzeniem niepotrzebnego cierpienia zwierzętom. Czy Ewangelia Jezusa, jego życie, nauki, w którymś miejscu namawiały do niepotrzebnej konsumpcji? Wręcz przeciwnie. A co na to apostołowie? – dobra „tego świata” (w domyśle – dobra materialne, zaspokajające potrzeby ciała) były dla nich „niczym”. Chrześcijaństwo jest radykalnym programem ekologizmu! Ilu z tych, którzy deklarują, że chcą „być eko”, traktuje poważnie programy wybitnych eko-filozofów, postulaty eko-aktywistów czy choćby zobowiązania wynikające z prawa ochrony środowiska? Ilu z tych ponad 90% Polaków na poważnie traktuje Chrystusa, swojego ekologicznego Boga? Przynajmniej ja jeden mam z tym duży problem...

Adam Paweł Kubiak



Kolumna dofinansowana przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach.